

Pirotechnik



STEFAN GRABIŃSKI

KSIEGA OGNI

Pirotechnik

BAŚŃ ASTRALNA

Pod granat nieba trysnął nowy pęk ogni, przepruł świetlistą linią kiry lipcowej nocy i rozsypawszy się tam, hen, w zenicie w skrzący miriadą gwiazd bukiet, spadł kaskadą pomiędzy drzewa królewskiego parku...

Zanim tłum widzów ochłonął z podziwu, wydzwignęła się w przestrzeń trójbarwna „pałka Herkulesa”, oślepiając biały promień światła mknący pionowo w górę lotem strzały, a dookoła niego dwie smugi wirujące, dwa pasma przedziwne: pąsowe i barwy topazu...

A gdy już zgasła w przestworzach trójświetlna rakieta i mroki alej rozwidniały znów tylko żagwie i smolne pochodnie, nagle zgłuszył gwar dworskiej gawiedzi przeciągły świst wstrząśniętego powietrza i wśród deszczu złotych iskier wleciała pod niebo duża, zielona bania, za nią śmignęło w przegony wydłużone wrzeczono i dopadłszy ją na podgwiezdnym szlaku, wbiło się ostrzem na wylot; olbrzymi, szmaragdowo-purpurowy bąk zawahał się na chwilę, zakolysał i zatoczywszy potężny krąg, zaczął w spiralnych skrętach staczać się cicho ku ziemi...

I tak szły w niebo coraz to piękniejsze ognie rozegrane migotem blasków, roześmiane tęczkami kolorów, bujne, szczodre a krasne. Rozchylały się w lubieżnej pysze precudne krzewy, rozkładały ogniste kosze, sypiąc bezlikiem gwiazd, płatków i kwiatów, strzelały płomienne race, czerwone gejzery, pomarańczowe wodotryski.

A tam, na rusztowaniu z tarcic, wysoko nad tłumem królewskich gości czerniała w świetle chińskich latarek postać ogniomistrza. Jak czarodziej skinieniem laski wywabia kształty i widma, tak mistrz Jan gestem ręki szybkim, nieuchwytnym rozpętywał przyczajone do skoku rakiety, wyzwał drzemiące baterie, podpalał stupiny¹ i lonty, uwijając się jak zły duch wśród stosów ładunków, piramid, bomb, cygar ognistych, bengalskich ogni, granatów. A spod palców jego wąskich, nerwowych, niemal kobiecych, tryskały w niebo siklawy² ogni poematy życia i jego przedziwne urody...

A gdy już północ spłynęła w mosiężnych kręgach z zamkowych zegarów i król powstał z tronu, by dać hasło do zakończenia igrzyska, zleciała ze stopni rusztowania duża, błyszcząca barwami opalu kula, prześmignęła ponad czubami drzew i skosem w podrzutach drasnęła powierzchnię parkowego stawu. Wtedy Roksana, pierworodna córka królewska zstąpiwszy w dół w nadbrzeżne aleje, pochyliła się nad wodą, w zachwycie dziecięcym wyciągając ręce do tańczącej kuli. I oto nagle pękło w tysiące skorup świetlane zjawisko, z wnętrza wypadła pąsowa różyca i przeleciawszy ponad balustradą, legła u stóp królewskiej dziewicy.

Uśmiech skrasił³ wargi Roksany i cicho wydała zlecenie jednej z dworek. A gdy za chwil parę stanął przed nią drżący z uwielbienia ogniomistrz i wzrokiem miłości pełnym pytał o wolę i rozkazy, ściągnęła z palca sygnet rubinowy i oddała mu w darze. Pochylił się mistrz Jan kornie do kolan królowny i ucałował rąbek jej szaty.

— Jutro — usłyszał jak przez sen szept czarowny — jutro pod wieczór bądź tu nad stawem.

¹stupina — knot ze skręconych nitek bawełnianych, wymoczony w wodzie z saletrą i mączką prochową; rodzaj dawnego zapalnika. [przypis edytorski]

²siklawy (gw.) — wodospad. [przypis edytorski]

³skrasić (neol.) — okrasić, upiększyć. [przypis edytorski]

I odeszła z gronem dziewczek dwornych, urodziwych...

Od owej przedziwnej nocy, nocy ogni i świetlistych igrzysk rozpoczęło się dla Jana nowe życie. W samotnię jego pracowni wtargnęła czerwonym płomieniem miłość i zażęgła słodki, odurzający bezmiarem rozkoszy pożar. Pirotechnik nadworny został tajemnym kochankiem królewskiej córy.

A miłość ich ukrywały wiernie parkowe drzewa i odległe, warkoczami powojów i bluszczów splecione ustronia..

Cudnie wybuchał w tym czasie kunszt Jana. Spotęgowany szczęściem bez granic, dumny w łaski Roksany, stwarzał dzieła jedyne, świetne, wyjątkowe. Powstawały ogniste symfonie radości, hejnały światła zwycięskie, peany bujawej siły rozrodu szumne jak młodość, perlące jak wino, mocne jak miody pasieczne. Całą rozkosz życia rozpierającą mu pierś młodą wyrzucał mistrz w nocę pogodną na ekran nieb; i spalały się tam wysoko na firmamencie ogniste hymny — rapsody, głosząc chwałę miłości i cudów ziemskiej wędrówki.

Lecz, wiadomo, szczęście ludzkie — to gość rzadki i na krótkim postoju; jak zabłysło nagle, niespodzianie — tak wrychle⁴ zgasło.

Pewnego wieczora zastał Jan w parkowej altanie zamiast królewskiej kochanki jej szatną, Dorotkę. Dziewka z szydem⁵ w czarnych oczach podała mu ciężką sakwę z jedwabiu i rzekła:

— Pani moja zleciła oddać wam, panie, to złoto, dziękując za przyjaźń i serdeczną przysługę. W ogrody króla jegomości więcej się, panie mistrzu, nie zapuszczajcie, ile że trud odtąd byłby daremny a niebezpieczeństwo łatwe. Za tydzień Roksana pójdzie w łożnicę księcia Śnigóra, który dni temu kilka dziewosłębów nam przysłał. Ostawajcie z Bogiem i zapomnijcie! Tak przykazuje królowna, moja pani.

Ból czarny targnął sercem Jana, ból okropny i jęcza splugawionej dumy.

Miotnął w twarz dziewczę sakiewkę w dank⁶ za wiadomość i odszedł bez słowa.

Rozpoczęła się włóczęga po szerokim, pustym świecie. Z kijem podróznym w pięści, ze skrzynką przyborów pod pachą wędrował pirotechnik z miejsca na miejsce rzucany jak ten liść jesienny podmuchami przypadku. Żarła go nędza, bolał wstyd; goryczą przesiąkła dusza, krwawiło serce.

Więc mścił się na ludziach, ukazując im świat w karykaturze a życie w lustrze wypukłym maskary i poczwar.

Bywało, w nocę gwiazdne rozkładał wędrowną swą paczkę na środku rynku w nieznanym gdzieś mieście, mieście lub wsi przydrożnej, klecił naprędce rusztowanie, a gdy tłum ciekawych obstał go kołem, puszczał w milczące przestworza zjadliwe węże zięjące ogniem z zielonych paszcz jakies zgniatwane, złośliwie sznury światła pełne czwarzających się w odstępach węzłów — ślepe, jadowite, złe, zionące trupim śwędem szmermele⁷.

Przeżony motłoch rozbiegał się wśród okrzyków grozy do domów, przeklinając niesamowitego szarlatana. A on spokojnie pakował ładunki w gilzy, okręcał w smolne szmaty, by w deszcz nie przemokły i zamknąwszy szczelnie w puzdra, odchodził z miasta z uśmiechem drwiny na ustach.

Tak przeszedł spory szmat świata. Był na stołecznych ulicach Europy i zgasił radość wytwornego tłumu, na rynku był w Bizancjum w święto mas bejramu⁸ i zwarzył wesołość dzieci Proroka — na ucztę był u szejka w Arabii Szczęśliwej i ściał mrozem śmierci twarze pijanych biesiadników. Strach szedł w ślad za nim, bładny strach i groza zakłęte przez mistrza w zjawy światła, rakiet i dżdżów ognistych...

Aż spłynęło nań ukojenie. Pewnego dnia w skwarne południe sierpnia spotkał na tamie portowej w Neapolu Maritę kwieciarkę i wtedy zapomniał o Roksanie. Słodka, czarnooka fioraja di Napoli została jego żoną.

I popłynęły dni cichego szczęścia.

Owe wspólne wędrówki po długich, znojnnych kurzawą i pyłem gościńcach, owe postoje w przydrożnych gospodach, hen gdzieś w skrajnym polu pod namiotem nieba, przedrzemane nocę! Hej! Ból serce dławii, oczy w łzach mętnieją... Minęło, minęło...

⁴wrychle (daw., gw.) — rychło, szybko. [przypis edytorski]

⁵szyd (neol.) — szyderstwo. [przypis edytorski]

⁶dank (daw., z niem.) — podziękowanie. [przypis edytorski]

⁷szmermel — wężykowaty fajerwerk; raca. [przypis edytorski]

⁸bejramu (z tur.) — święto. [przypis edytorski]

I w sztuce Jana zaszły wtedy zmiany. Przestały płonąć na widnokręgu złośliwe masz-kary, przestały szczerzyć się ku ludziom uśmiechy ognistych poczwar. Złagodniała pieśń pirotechnika. Przed oczyma widzów paliły się teraz błękitne ognie ukojenia w glorii lazur-owych płomieni indu, kalomelu, przetykały haftem płaszcz nocy łagodne irysy, skłaniały kielichy tulipany, rozwachlarzały się soczystą zielenią barytu długowłose palmy...

Jan zaczął prowadzić życie osiadłe. Wybudował duży, biały dom nad brzegiem rze-ki, zasadził wkoło daktyle, cytryny, pomarańcze. Wewnątrz założył pracownię, zatrudnił kilku ludzi. W wielkich, beczkowo sklepionych piecach topił metale, prażył w tyglach, precedzał przez alembiki.

Marita stała wiernie u boku męża: rozcierała tłuczkiem ładunki na marmurowych tafelkach, mieszała preparaty rogową łopatką, napełniała z kobiecą ostrożnością puste gilzy i patrony. Huczały paleniska, stękały miechy, pieniały się szumem retorty.

Na płaskim dachu domu urządził obserwatorium pirotechniczne i ogniopróbnę; tu przepuszczał swe twory przez surowy osąd probierzy, nim wypuścił je w świat ludziom na podziw i zachwyty.

Bo Jan zapragnął kunszt swój ognisty podnieść na wyżyny wielkiej, świętej sztuki; nie chciał być szarlatanem jak tylu wędrownych jego współbraci, cyrkowym hecarzem strzelającym w niebo raketami dla uciechy jeno i błahej rozrywki. Chciał zakłąć myśl swoją w ogniopalne dzieło, wypowiedzieć w burzy i zgiełku ogniotrysków swe uczucia, marzenia i sny przebogate. Raziła go niedoskonałość środków, trawił ból i tęsknota za czymś wielkim i trwałym. I smutek bezbrzeżny kładł mu się lodowatym całunem na serce, ilekroć widział na niebie swe najpiękniejsze ognie. Bo wiedział, że moment cudu krótki ni to⁹ mgnienie błyskawicy, że za chwil parę zgaśnie świetne zjawisko: spadnie mu do stóp żużlem meteoru.

Wtedy z tęsknoty owej w południe życia poczętej zrodził się pomysł wielki i śmiały, który miał zostać kiedyś dziełem jedynym, tworem nieśmiertelnym i trwałym pirotech-nika Jana.

Zrodził się w ciszy domowego szczęścia i zapadł głęboko w duszę na dno. Otoczyła go tajemnica świętości i jakaś szczególna wstydlivość. Jan nie zwierzył się nawet przed żoną.

Od owej przedziwnej godziny narodzin co dzień wieczorną porą, gdy już ostygły re-torty, ogień dogasał w paleniskach i towarzysze pracy rozchodzili się po domach — zamykał się mistrz w samotnej pracowni. Gdy w godzinę, dwie potem wychodził z ta-jemnego wnętrza — twarz miał dziwnie zmienioną i bladą, w oczach chmurną zadumę. Pytany przez żonę odpowiadał ni to, ni owo, kiedyś później wszystko odkryć obiecując.

Lecz wiadomo, kobieta ciekawa. Niecierpliwości nie mogąc opanować, zakradła się Marita pod wieczór do pracowni i ukryła za żelaznym przepierzeniem, co odgradzało przystęp do pieca od wnęki na kruszce. I ujrzała rzecz dziwną.

Upewniwszy się, że drzwi dobrze zaryglowane, nacisnął Jan palcem ścianę w pewnym miejscu; wtedy ukazała się wydrążona skrytka, z której dobył dużą, kryształową czarę napełnioną jakimś purpurowym płynem z zanurzoną w nim swobodnie czarną, krągłą masą. Ustawiwszy preparat przed sobą na stole, odwinął rękaw, zadrasnął skórę ostrzem noża powyżej łokcia i wpuścił parę kropel krwi do płynu. Potem zawiąawszy rękę, pochylił się nad czarą, dotykając czarnej kuli palcami obu wyciągniętych dłoni. Powoli oczy jego nabrały szklanego wyrazu, ciała podeszły w górę, członki nabrały sztywności drewna i... stojąc usnął. W jakiejś chwili wyprężone ramiona podniosły się i nieruchomo ustawiły do poziomu ponad czaszą. Wtedy czarna kula, jakby pociągnięta tajemniczą siłą wynurzyła się z płynu i zawahawszy parę razy nad jego powierzchnią, zawisła swobodnie w powietrzu. Mistrz spał snem kamiennym...

Przełęczniona Marita nie ruszała się z miejsca. Jakies głuche przecucie szeptało jej do ucha, by go nie budzić, nie dotykać w tej chwili. Więc czekała z przytającym oddechem. A gdy już dobiegła do końca długa godzina, drzenie przebiegło ciało Jana, ręce uderzać zaczęły lekko w powietrzu, aż zesztyniałe ramiona pochyliły się znów skosem ku czaszy. Wtedy kulista masa powoli zanurzyła się z powrotem w rubinowej cieczy. Jan obudził się.

⁹ni to mgnienie — niby to mgnienie, niczym to mgnienie. [przypis edytorski]

Od owego wieczora przestała Marita wypytywać męża. Ukoiwszy raz niewieścią ciekawość, nie pragnęła dotrzeć do sedna tajemnicy; przejmowała ją lękiem i trwogą. Więc trzymała się z dala od „praktyk Janowych”...

Tak mijały im lata w ciszy i szczęścia ukojeniu. Sława mistrza rozchodziła się tymczasem szeroko, zataczając coraz większe, coraz potężniejsze kręgi. Zewsząd ściągali zarówno mądrzy i silni świata tego, jak i pokorni i maluczcy, by podziwiać sztukę pirotechnika z Białego Domu. Urósł w oczach ponad miarę...

Aż nadeszły dni smutku i żałoby. Pewnego rana zachorzała ciężko Marita. Jakaś zabójcza zimnica opanowała zdradziecko młode jej ciało, że kraśniała i bladła na przemiany od gorączki i chłodu. Trzy dni walczyła o życie, zmagając się z chorobą, by czwartego nad ranem odejść cicho w zaświaty na rękach Jana...

Zamilkła na lata pieśń ogniomistrza. Kamienny ból rozpanoszył się w sercu, okrył kirem żałoby rozteśnioną duszę. Umilkły głosy towarzyszy w ogniotwórnym, zgłuchły wesole piosnki pracowników. Zionęły czeluściami otworów wyzięble piece, drzemały w kurzawie pyłu ponieczone tygły, spętane pajęczą przędzą, puste retorty. Jan zapamiętał się w bólu, zaciął w tępej rozpacz.

Póki nie wyzwolił go kochający duch Marity... Zjawiła mu się w jasną noc grudniową w opustoszałej pracowni, w jedną z tych długich, samotnych godzin, których teraz tyle trawił zamknięty w czterech swych ścianach.

Zjawiła się słodka i czysta z uśmiechem anielskim na twarzy i położywszy mu rękę na głowie rzekła doń szeptem:

— Wstań i zaświadczyć światu o sprawach po tamtym brzegu.

Okrzyk radości wydarł się z piersi Jana i wyciągnął ręce, by ją objąć; lecz świetne zjawisko rozwiało mu się w oczach. Tylko skądś z oddali niby oddech wiatru doszło go ciche westchnienie...

I podjął pracę ducha na nowo. Z pracowni pirotechnika zaczęły padać na niebo potężne projekcje duszy rozmiłowanej już w radościach nie z tego świata: była jakaś wielka w swej przepokorze modlitwą, jakieś ogromne, w muzyce nadziemskiej zasłuchanie. Rzucone w międzyplanetarną przestrzeń ognie rozkwitały w litanie duchów mistyczne, w serc czyste chorały, niebiańskie aniołów koncerty. Wyczarowane z kuźnicy Białego Domu pociski, dosięgłszy stropu niebios, rozrzuciły się hen po widnokregu w falangi świetlnych tworów, w jakieś pielgrzymie orszaki w drodze ku nieznanym celom, w zaświaty...

I szły po niebie te jasne postacie w utęsknieniu bez miary, pełgotały czas pewien w świętym wysiłku, aż wyczerpane drogą przydługą konały i gasły...

Patrzył na tę mękę serdeczną ich twórcą i tym żarliwiej pracował nad dziełem swego życia jedynym. I stało się, że wykończył je w czasie, gdy już włos mu na skroniach posiwał, gdy pochylony już laty¹⁰ zapragnął spocząć snem wiecznym.

Więc sprosił na igrzysko ludu wiele z miast i wsi i wyznaczył im siedliszczą kamienne półkregiem nad brzegiem morza. A sam stanąwszy na rusztowaniu w środku koliska nad pluskotem wzdolliwych fal, wśród ciszy śmiertelnej rozpoczął widowisko.

I opowiedział im ognistą baśń o duszy ludzkiej i jej wędrówkach po szlakach życia. Mówił o wzlotach podniebnych i hańbie upadków, o rajskim śpiewałym uśmiechu i piekielnej udręce, o wierze promiennej i kaźni zwątpienia. I dzierżgał na niebo swoją opowieść błyskami rakiet, gzygakiem szmermeli, cudną poświatą Bengalu. Siał hojną dłonią całe przygarście złotego pyłu, miotał w noc cichą roje tęczy bez liku i światła dżdżące wytryski. Rozpinał niebotyczne łuki, smukłe tummy i wież iglice, rzucał w ogniowym odmieście gmachów podniebne arkady...

Nagle ustała orgia światła, pogasły meteory i zapadły zwycięskie mroki nocy.

Lud zaszemrał niechętnie:

— Czyżby już koniec igrzysku?

I z rozczarowaniem spoglądali w dół na rusztowanie. Tam w blasku kaganka stał mistrz Jan z dłońmi przed się wyciągniętymi jak do modlitwy muezin, z twarzą wzniesioną ku niebu. Zda się skamieniał, zdrętwiał na miejscu...

Ogień, Artysta, Sztuka,
Teatr, Dusza, Gwiazda,
Czary

¹⁰pochylony (...) laty — pochylony latami, pochylony przez lata. [przypis edytorski]

Wtem wleciała pod niebo cudna, ciemno-błękitna gwiazda, przesybowała lotem błyskawicy ponad teatrem widowni i wzbija się śmiało na firmament. Sześć ramion strzelało z błękitnej jej piersi, sześć świetlnych promieni z szafiru. Dziwna zaprawdę gwiazda.

Bo chociaż wspięła się tak wysoko jak żadna dotąd z rac mistrza, nie zmaląła przecież dla oczu, lecz wciąż świeciła nad ziemią w pierwotnym swym blasku. A wtem zawisła w przestworzach na wschód od mlecznej drogi i zatrzymała się wśród siostrzyc...

Na próżno czekali widzowie, kiedy zgaśnie i stoczy się w morze, na próżno...

Bo gwiazda mistrza Jana nie miała już wrócić na ziemię, lecz przyjęta do grona rówieśnic odtąd miała świecić tam w górze.

A tu na rusztowaniu z desek wśród dogorywających lontów i stupin leżały sztywno rozpostarte zwłoki pirotechnika: błądy był, bez kropli w twarzy, z zastygłym na wargach uśmiechem.

I zrozumieli ludzie, że duszę swą zaklął w szafirową gwiazdę, by mogła wlecieć na niebo...

Astronomowie świata zauważyli tej nocy nowe ciało niebieskie: jakąś gwiazdę piękną i dużą, co rozbłysła nagle barwami szafiru we wschodniej połaci nieba.

A gdy w noc drugą i następne nie zniką z horyzontu, lecz zdawała się rozpalać coraz świetniejszym błękitem — włączyli ją w poczet gwiazd pierwszej wielkości i nazwali „*Stella Pacis*” czyli „Gwiazdą Pokoju”.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-ksiega-ognia-pirotechnik/>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Księga ognia*. Nowele, Nakład Księgarni Polskiej, Łódź [1922].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Tulicka, Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).